Rocznik XVI. Krakow 1-go stycznia 1908. Nr. 1.

NOWY DZWONEK

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia **1**-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

„Nowy Dzwonek“ kosztuje w prenumeracie:
w Austryi na **rok**: **3** korony; na **pół roku**: **1** koronę **50** halerzy. — Do **Niemiec** na rok: **3** korony **50** hal. — Do **Ameryki** na rok: **1** dolar.

Adres:
Redakcya „Nowego Dzwonka“ w Krakowie ul. Wolska L. 28.

Kalendarz — za darmo!

Każdy, kto sobie zaprenumeruje *Nowy Dzwonek* na rok bieżący 1908 i nadeśle z góry całoroczną przedpłatę na to pismo, to jest **3** korony — ten otrzyma jako bezpłatną premię:

Kalendarz „Święta Rodzina“
na rok 1908.

Uiszczający tylko półroczną prenumeratę — nie mają prawa do tej premii.

Prosimy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na *Nowy Dzwonek*, bo kto się opóźni z jej nadesłaniem — ten potem **Kalendarza** nie otrzyma.

Wszelkiej pomyślności

życzymy w tym Nowym Roku wszystkim naszym Szanownym Czytelnikom, oraz dziękujemy serdecznie za nadesłane nam życzenia, a niektórym Czytelnikom także i za łaskawe naddatki dołączone do prenumeraty!

Pierwsze strzały.

Z obozu socyałów padły już w wiedeńskiej Radzie państwa pierwsze strzały wymierzone ku Kościołowi katolickiemu. Czerwoni towarzysze postawili wniosek, aby z uniwersytetów, to jest z szkół najwyższych, wyrzucić naukę teologii, czyli z wydziałów teologicznych zrobić osobne zakłady prywatne.

Socyały, masoni i żydzi głoszą bezczelnie, że nauka teologii, której się na uniwersytetach oddają klerycy katoliccy, poniża (!!) uniwersytety i niezgodna jest z postępem innych nauk wykładanych na uniwersytecie.

Wniosku socyałów Rada państwa na razie nie uchwali — bo, dzięki Bogu, większość posłów stanowią jeszcze katolicy, ale już postawienie takiego wniosku świadczy — do czego dążą socyały z masonami i żydami, to jest do wyrzucenia nauki religii najpierw ze szkół najwyższych, a potem powoli z wszystkich szkół — jak to już zrobili we Francyi.

Posłowie socyalistyczni zapowiedzieli także postawienie drugiego wniosku, to jest oddzielenie Kościoła od państwa, bo chcą śladem francuskich masonów wypędzić potem zakonników, odebrać katolikom kościoły, zagrabić majątki kościelne i rozprzedać je za pół darmo żydom i czerwonym towarzyszom.

Zaczynają tedy socyały już i w Austryi odsłaniać swoje przyłbice, i odważają się stawiać wnioski mające na celu obalenie Kościoła i zniszczenie religii chrześcijańskiej.

Że na tych wnioskach nie spoczną wrogowie Kościoła i społeczeństwa — to rzecz pewna. Będą się oni starali zyskiwać przez agitacyę coraz więcej posłów — a gdy się im to uda — wtedy swoje dzisiejsze zamiary wprowadzą w czyn.

Dlatego katolicy powinni się mieć na baczności — i wszelkimi sposobami tamować agitacyę socyałów. W niemieckich krajach Austryi dzielnie zwalcza socyałów „stronnictwo chrześcijańsko - socyalne“, które dziś w Radzie państwa jest najsilniejszem stronnictwem.

U nas w Galicyi — bardzo mało przeciwdziała się socyalizmowi, bo niema stronnictwa prawdziwie chrze-

ścijańsko-społecznego". Miało niem być „Polskie centrum ludowe" — ale to jest dziś jakby w rozbiciu, a stronnictwo ks. Stojałowskiego, choć nosi nazwę „chrześcijańsko-społecznego", jest i małe i nie budzi jakoś zaufania.

Najczynniejszym w zwalczaniu socyalizmu jest obecnie — co trzeba przyznać — krakowski „Polski związek robotników", którego organem jest pismo *Postęp*. Ale Związek ten obejmuje głównie tylko klasę robotniczą — a tu potrzeba stronnictwa obejmującego wszystkie stany.

Takiego stronnictwa nie mamy dotąd w naszym kraju, co się kiedyś odbije na naszem społeczeństwie chrześcijańskiem, bo różni wywrotowcy wraz z socyałami nie próżnują, lecz działają dalej, a nawet coraz energiczniej i coraz więcej dusz bałamucą.

Społeczeństwo katolickie naszego kraju śpi — choć burza się zbliża. Karygodne to spanie. Czas już największy obudzić się i zorganizować w jedno „chrześcijańsko-społeczne" stronnictwo, bo jeżeli tę sprawę dalej odwłóczyć będziemy — to socyalizm i radykalizm tak się tymczasem rozszerzą — że potem niemożliwem je będzie obalić, a wina za to spadnie na samo społeczeństwo, które dziś tak obojętnie patrzy na fale socyalizmu i radykalizmu, zalewające już nie tylko miasta i fabryki — ale i spokojne dawniej wioski.

Pruskie bezprawia.

Coraz to cięższe czasy nastają dla naszych Braci w Poznańskiem. Zaciekły Prusak przebrał już w gnębieniu Polaków wszelką miarę — bo teraz postanowił wydrzeć nam ziemię i język, dwie rzeczy, które dla każdego narodu są najświętsze.

Kanclerz niemiecki wniósł w parlamencie ustawę, aby na publicznych zgromadzeniach nie wolno było inaczej przemawiać, jak po niemiecku, a od Sejmu pruskiego zażądał nowych 400 milionów na wykupno ziemi polskiej. Ale ponieważ już dobrowolnie nikt w Poznańskiem nie chce komisyi kolonizacyjnej niemieckiej sprzedać ojczystego zagona, więc ma Sejm pruski uchwalić ustawę, aby rządowi pruskiemu wolno było Polaków wywłaszczać,

to znaczy, że czy kto chce, czy nie chce, to mu zabiorą ziemię i zapłacą za to, co zechcą.

Jest to więc prosty rabunek, tem gorszy, bo uprawiany pod płaszczykiem ustawy przez rząd, który przecie powinien dbać o swoich obywateli.

Więc jedną ręką rabują ziemię Polakom, a drugą kneblują im usta, nie pozwalając na zgromadzeniach używać polskiej mowy, aby ten krzywdzony Polak nawet głośno swej skargi nie mógł wypowiedzieć, aby jęk jego boleści został stłumiony. Zniknąć więc muszą wszystkie Czytelnie, Kółka rolnicze i inne instytucye, które dotąd krzepiły duszę wieśniaka poznańskiego, zamilknąć musi w gnieździe Polski — język nasz ojczysty, a na zagonach zlanych od wieków polską krwią i potem, osiąść ma kolonista niemiecki. To już chyba piekło podyktowało Prusakom takie prawa, które urągają wszelkim prawom boskim i ludzkim.

Boleść Braci w Poznańskiem odczuwamy i my. Tej boleści dali wyraz groźny nasi posłowie w parlamencie wiedeńskim, wszyscy bez wyjątku, więc Koło polskie i ludowcy i żydzi, i wnieśli energiczny protest przeciw gwałtom krzyżackim; do tego protestu przyłączyli się Czesi i Słoweńcy i Włosi i Rumunii — nawet socyaliści — a i część Niemców — z wyjątkiem jednych Rusinów-Ukraińców.

Po naszych miastach i wsiach odbywają się wiece, na których potępiają pruskie gwałty — ale to wszystko niewiele pomoże, jeżeli się żwawiej do roboty nie weźmiemy. A mamy jeden sposób do obrony naszych braci, użyjmy go tylko, a wnet się Prusaki cofną. Nie kupujmy towarów niemieckich, nie dajmy im robotnika, który tysiącami rok rocznie wędruje na Saksy — a wnet zmiękną, bo tu będzie chodzić o ich kieszenie.

Choć cały świat cywilizowany Prusaków dziś potępia za ich bezprawia, to oni wiedzą, że ten głos potępienia wnet ucichnie, że nikt się za nami nie ujmie i wcześniej czy później swoje zrobią, bo „krzyżackiego gadu nie ugłaszcze nikt“. — Więc sami, nie bacząc na nikogo, nie orężem, bośmy słabi, ale tą bronią, jaką mamy, to jest nie dawaniem robotnika i nie kupowaniem pruskich towarów, brońmy naszych Braci uciemiężonych, a jest to

naszym świętym obowiązkiem. Pomagajmy sami sobie, a Bóg nam dopomoże. Przetrwali już nie jedną burzę Poznańczycy, Bóg im doda siły do przetrwania i nowego gwałtu pruskiego — a nasza dobra sprawa zwyciężyć kiedyś musi.

Prusaków zaś, którzy się dumnie zwać lubią państwem sprawiedliwości i dobrych obyczajów, a którzy postępowaniem swojem z Polakami, zadają kłam tej nazwie, ciężko kiedyś pokarze Bóg, który jest sprawiedliwy. Nie opuszczajmy więc rąk i spieszmy Braciom naszym w Poznańskiem z taką pomocą, na jaką nas stać.

ZAPRACOWANI.

I.

— Słuchaj Maciek, także ty nie wiesz, co się tam we wsi dzieje? — rzekła do męża pospiesznie Katarzyna, wchodząc do chaty i zdejmując ze siebie czerwoną chustkę.

— Ba, skądbym wiedział — odparł powolnie Maciek, chłop tęgi, wysoki, ale suchy i kościsty.

— Otóż tak zawsze do wszystkiego jesteś ciężki i o nic się nie troszczysz. A tam ludzie sprzedają grunta, chałupy i lecą hurmem do Brazylii, jak te jaskółki i bociany na zimę. W karczmie jest jakiś ajent, który daje ludziom „szifkarty“, a kto pokaże taką kartę w Brazylii, ten sobie może brać ziemi wiele chce, ile uprawić potrafi.

— Żeby to była prawda, co ludzie gadają!

— No, widzicie, moiściewy ludzie — mówi zafrasowana Katarzyna, widząc, że przekonać męża nie może, a zapału swego udzielić mu nie potrafi — on powiada, że nie prawda, że to ludzie gadają. Aleź Maćku drogi, toć to ja ci mówię, ja, twoja żona, nie „żadne ludzie“. A ja znów słyszałam to od Paluchowej, a ona wie o tem od Janika, który już pole swoje sprzedał i idzie do Ameryki z Kędziorami, Balickimi, z Walą i Górskim.

— Kto niema nic, ten do Ameryki idzie zarabiać, żeby jednak Janik i Wala sprzedali pole, to mi się nie widzi.

— A widzisz, a oni sprzedali! Bo kto ma pieniądze na początek w Brazylii, ten da sobie prędzej radę i więcej pola nabrać może.

Maciek zdumiał się. Katarzyna po raz piąty i dziesiąty powtarzała mu słyszane we wsi szczegóły o przygotowaniach do podróży emigrantów.

Maciek Prugar był zarobnikiem. Prócz chaty w Węglówce i małego obejścia, nie posiadał nic. Żył z codziennego zarobku, ale gdy przybywała dziatwa, coraz trudniej było o utrzymanie. Dzieci było czworo, najstarsza 16-letnia Maryś i 13-letni Stasiek, chodzili także na zarobki latem, ale 8-letnia Rózia i 5-letni Jacuś, nie zarobili nic, a apetyt do jedzenia mieli przewyborny. Sześć gęb nakarmić z małego na wsi zarobku, to nie żart. W lecie szło to łatwiej, ale w zimie, gdy chłop zarabiał 20 centów, a baba 16, trudno było za 36 centów wyżywić i ubrać sześcioro ludzi.

Ileż to wieczorów marzyli o tem biedacy, aby mieć zagon pola! Ileż to tysięcy razy mówili sobie, czemby oni to pole zasadzili, ile byłoby z niego kartofli i kapusty, ile trawy dla krowy! Swoje kartofle i kapusta, toż to całe utrzymanie, a zarobek codzienny szedłby na przyodziewek i podatek. Z czego jednak zaoszczędzać na pole, skoro na jedzenie nie starczyło. Wszystkie więc marzenia biednych ludzi o poprawie losu, kończyły się westchnieniem, że już nigdy na świecie nie będzie im lepiej.

Wiadomość o rozdawaniu pól w Brazylii i o wybieraniu się wielu rodzin ze wsi za morze, rozgorączkowała Katarzynę. Biegła więc co tchu do chaty, aby podzielić się tą wieścią ze swym mężem. Długo w noc nie było o niczem innem mowy, tylko o Ameryce, gdzie można mieć kawałek pola.

Nazajutrz poszła Katarzyna na robotę, a Maćka wyprawiła do karczmy, aby się dokumentnie wywiedział o wszystkiem od owego agenta.

W karczmie pełno było ludzi. Agent cuda rozpowiadał o Brazylii, a karczmarz wyjaśniał chłopom lepiej, czego nie pojmowali. Niedowiarków było dużo, ale wielu zdecydowało się jechać za morze, szukać szczęścia. Maciek z natury powolny o nic nie pytał, przysłuchiwał się tylko pilnie wszystkiemu. Oczy mu błyskały radością, pierś rozpierała nadzieja.

Na południe przyszedł do chaty.

— I cóż? — pyta się niespokojnie żona. Zawczasu przybiegła z roboty na obiad. Ciekawość ją paliła.

— Ano, dają karty na okręt, ale ziemi za darmo nie dają. Trzeba wypłacać ratami.

— To fracha! byle dali kawałek ziemi. Człek miałby swe kartofle i swój chleb. Sprzedajmy chałupę i jedźmy. Trzy setki dostaniemy, a za tyle pieniędzy będziemy mieli ziemi ile dusza zapragnie. Resztę spłacimy.

Po obiedzie Katarzyna pomogła myć naczynie córce i wybrała się napowrót do roboty. Wychodząc, wysłała męża znowu do karczmy i dodała mu otuchy:

— Nie masz się czego namyślać, nie dorobiliśmy się niczego. Ty masz dziury na łokciach, ja łachami świecę, a dzieciska głodne. Zapisz się na „szifkartę“ i szukaj kupca na chałupę.

— Może i dobrze baba mówi — pomyślał Maciek — może w Ameryce dorobimy się czego więcej?... sobie starość spokojniejszą, dzieciom przyszłość lepszą.

Maćkowi o postanowienie było trudno, ale gdy raz coś postanowił, już go nikt nie zawrócił z drogi.

Przy pomocy karczmarza sprzedał chatę, dostał kartę okrętową, paszport i wraz z innymi podążył do Brazylii.

II.

Katarzyna opuszczała Węglówkę bez żalu, z pewnym pośpiechem nawet. Ożywiała ją nadzieja, pilno jej było za morze, gdzie posiadać będzie kawałek ziemi. Maciek zawahał się w ostatniej chwili. Energicznie pakował się, żonę i dzieci wsadził na wóz najęty i w ostatniej chwili stanął. — Rozglądnął się po wsi, rzucił wzrok na swą chatę, łza stanęła mu w oku. Przeżegnał się i zapytał:

— Czy jeszcze zobaczę kiedy swą chatę rodzinną? Czy lepiej będzie nam za morzem? Czy potrzeba się nam wlec w świat nieznany, między obcych ludzi?

— Jadą drudzy, to i my pojedziemy — pocieszała go żona — siadaj, a nie marudź, przecieżeś chłop, nie baba.

— Ha, no, dziej się wola Boża!

Siadł Maciek i wózek potoczył się rączo do stacyi kolejowej.

W Genui wychodźcy czekać musieli dni kilka na okręt. Maciek oglądał miasto, dziwił się pięcio- i sześcio-

piętrowym kamienicom, podziwiał wspaniałe kościoły wykładane marmurem i wróciwszy do swoich rozpowiadał żonie i dzieciom, co za śliczności ludzie tu mają.

Zadumana siedziała Katarzyna przy dzieciach i swoich węzełkach, czekając niecierpliwie, kiedy każą siadać na okręt.

— Jedziemy, jedziemy! — wołali zewsząd wychodźcy.

— Nareszcie! — mruknęła Katarzyna, zabrała tłumoki i poszła z dziećmi do portu.

Gdy usadowiła dzieci na pokładzie okrętu, odetchnęła.

— Jezu drogi, żeby też jeszcze przejechać tę wodę.

Na pokładzie było gwarno. Chłopi nie widzieli dotąd morza, nie jeździli okrętami nigdy. Wszystko ich bawiło i ciekawiło. Miny mieli odważne i zuchwałe. Ochota ich udzielała się żonom i dzieciom.

Katarzyna jedną myślą zajęta nie weseliła się wcale. Kobiety znajome chciały ją rozbawić, rozweselić i wciągnąć w swoje koło. Prawiły o rozmaitych krajach, które przejeżdżali koleją, o kołyszącej jeździe okrętem. Niby okręt, niby kołyska, niby jazda, a niby kołysanie.

— Furda kolej, furda okręt! Ani mi to w głowie — odpowiadała Katarzyna, czy patrzę na ląd, czy na morze, byle mi pokazali, gdzie to moja rola będzie.

Po kilku dniach jazdy zerwała się burza. Niebo czarna zalała chmura, a wicher dął złowrogo w bok okrętu. Marynarze kiwali głową, przeczuwali nawałnicę.

„Ave maris stella, Dei mater alma“, poczęli śpiewać włoscy emigranci z początku półgłosem, potem całą piersią. Włosi wiele pieśni kościelnych śpiewają po łacinie.

Maciek trącił Walę łokciem.

— Oni śpiewają: „Witaj gwiazdo morska, dziwna Matko Boska“.

— Niby to samo, nawet melodya taka, jaka u nas.

— A no, to i my śpiewajmy za nimi.

Huknęli Mazurzy. Włosi po łacinie, Mazurzy po polsku śpiewali pieśń do „Gwiazdy Morza“. Huczała burza, przechyliła okręt i rzucała nim po falach; ryczało morze, pieniło się ze złości i wielką falą, niby wałem uderzało o okręt A pieśń głośno dźwięczała, a wicher swym świstem i morze swym rykiem wtórowało modlitwie ludzi.

Wzmagał się coraz bardziej wicher, deszcz gwałtowny począł siec z ukosa, fala z każdą chwilą rosła i ciskała

się na pokład okrętu. — Kapitan kazał ludziom zejść do wnętrza okrętu, pozamykać otwory, a majtkom trzymać się mocno lin i poręczy.

Kilku chłopów zostało jednak na pokładzie. Albo to oni jedną burzę przebyli na polu, lub w lesie. Podobała im się zresztą burza morska. Nie widzieli takiej nigdy, a ona taka straszna, taka niesamowita. Raz fala rzuciła okręt w bok, drugi raz bałwan wzniósł go na swym grzbiecie naprzód i cisnął nim w przepaść. Wicher wygładził wzburzoną powierzchnię morza, potem ją znowu rozmierzwił, zakłócił i rzucił falą wody wysoko ponad okręt.

— Trzymaj się -— wołał Balicki na Kędziora — bo cię spłucze.

— Albo ja to mucha — odpowiedział Kędzior. Schował zziębnięte od deszczu ręce do kieszeni i oparł się bokiem o żelazną poręcz okrętu.

Pęd fal uderzał o przeciwny bok okrętu i przechylał tę stronę, po której stali wychodźcy, więcej ku wodzie. Roztropniejsi cofnęli się poza budę sternika, aby zasłonić od wiatru, trzymali się nadto silniej żelaznej poręczy. Kędzior udawał zucha, kpił sobie z towarzyszy i pozostał na wolnem miejscu.

Silnie zbudowany okręt, zamknięty szczelnie, ślizgał się z fali na falę. Uniósł go bałwan do góry, lub stoczył go w przepaść, nic mu to nie szkodziło. Jak balon wydęty wypływał zawsze z tryumfem.

Ryknął znowu wicher i przechylił okrętem silnie w bok. Fale spiętrzyły się czarne i jak potwory żarłoczne pędziły jedna za drugą, szukając żeru. Padła jedna fala na okręt, przykryła go górą wody, zapieniła się w miliony kropli perlistych i biegnie dalej. Za nią druga fala wbiegła na pokład szukając żeru, zaszumiała, zakotłowała i pędzi dalej. Trzecia, czwarta, dziesiąta z szumem rzuca się całym ciężarem na pokład przechylony i z szumem i hukiem stacza się dalej. Wicher, niby bicz Boży, popędza fale dalej, a dalej. Rozpływają się, łączą, powstają znowu do góry, jak znużony bojownik, uderzają na nowo i pędzą dalej w przestwór nieskończony.

Złagodniała gwałtowność wichru, znikły spiętrzone bałwany, zmalała fala.

— A to ci piekło, nie morze — rzecze Balicki do sąsiada, przecierając ręką z wody twarz i oczy.

— Ha, no, nie zawsze człek takie rzeczy zobaczy. Zmoknie, bo zmoknie i strachu się naje, ale co widzi, to widzi.

— Ale patrzaj-no, gdzie Kędzior, ja go nie widzę.

— I ja także, może uciekł do wnętrza. Udawał zucha — przeląkł się. *(Ciąg dalszy nastąpi).*

ORZEŁ.

PODANIE DZIEJOWE.

Dawno już temu bardzo dawno, bo tysiąc lat z górą, ciągnęła na północ ogromna gromada ludu. Szła ona z południa, a widać było po ludziach, że dawno już byli w drodze, bo postępowali wolno, przystając od czasu do czasu, widocznie dla odpoczynku i nabrania sił do dalszej podróży. Słońce już chyliło się ku zachodowi, a wieczór zapowiadał się spokojny i ciepły.

W oddali widniała srebrna tafla wodna, której widok cieszył całą gromadę: tam bowiem nad brzegiem tej wody postanowili zatrzymać się. Konie, jakby przeczuwając rychły odpoczynek i posiłek, zaczęły raźno rżeć, a i bydło pomrukiwało z zadowolenia. Nawet i ludzie ożywili się, a na twarzach ich zajaśniała radość i zadowolenie. Bo i jak tu się nie cieszyć — idą już od tak dawna i tak są utrudzeni, a oto już zbliżają się do celu. Tam, około tej wody zatrzymają się na dłuższy czas, a jeśli okolica okaże się bogatą w lasy, łąki i wodę, być może osiądą w niej na stałe. Zaraz też zaczęli raźniej poruszać się; ten i ów odezwał się z żartem; tu i tam słychać było wesele. I droga już wydawała się im krótszą i lżejszą, tak bardzo uśmiechał im się spoczynek i posiłek.

Przybywszy nad brzeg owej wody, rozłożyli się na obszernych łąkach, konie i bydło puścili na paszę i porozpalali ogniska. Kobiety zajęły się warzeniem jadła i układaniem dzieci do snu, które, zmęczone uciążliwą podróżą, zasypiały, nie czekając nawet wieczerzy. Mężczyźni porozkładani na trawie, rozmawiali między sobą.

— Jak myślicie, tatulu, pójdziemy dalej, czy tu zostaniemy, zapytał młody wyrostek. Mnie się zdaje, że Lech niepotrzebnie nas tak ciąga. Jabym tam — mówił dalej — został na miejscu. A bo nam źle tam było? — Mieliśmy poddostatkiem wszystkiego.

— Et, Wachu, młody jesteś bardzo, to dlatego tak gadasz bez zastanowienia — odrzekł mu na to ojciec — nie wiesz, żeśmy na miejscu pozostać nie mogli, boby nas ludy, co przyszły z dalekich stron, wygubiły ze szczętem. Lech nas chciał uchronić od zagłady i dlatego uprowadził dalej od dzikich najezdnych hord. Powinniśmy być mu wdzięczni za to, nie sarkać a słuchać jego woli i rozkazów. Kneź to mądry i dobry. — I mnie się widzi — dodał po chwili — że tu zostaniem, bo jakoś okolica wydaje mi się we wszystko bogata, co nam potrzeba. Wody i łąk poddostatkiem, a widać, że i lasów nie brak.

Tu przyłączyli się inni do rozmowy, a wszyscy mówili o tem, jak obce ludy, idące ze wschodu, wygnały ich z siedzib i jak to już od wielu tygodni pod dowództwem Lecha idą ku północy, szukając dogodnego miejsca, by osiedlić się na stałe. Wszystkim się też zdawało, że Lech tę właśnie okolice obierze na ich stałe miejsce zamieszkania, gdyż, o ile można było sądzić przy nadchodzącej nocy, wydawała im się odpowiednią i dogodną.

Jakoż nazajutrz Lech, rozejrzawszy się i naradziwszy ze starszyzną, powiedział gromadzie, że już dalej nie pójdą, niech więc wszyscy, wypocząwszy nieco, zajmą się urządzeniem domostw i siedzib.

Ludziska wielce się z tego ucieszyli, bo to, jak już wam mówiłem, byli pomęczeni tą długą wędrówką, Lech zaś, zebrawszy niewielką gromadę młodych zuchów, puścił się zwiedzać lepiej okolicę.

Przedewszystkiem postanowili oni obejść dokoła owo jezioro, nad którem zatrzymali się na nocleg. Udało im się to z łatwością, gdyż jezioro to nie było zbyt wielkiem. Nazywało się Gopło, było cztery mile długie, a pół mili szerokie, miało kilka półwyspów, dwie większe wyspy, Sięganów i Potrzymiechy, przez środek przepływała rzeka Noteć, wpadająca do większej rzeki Warty.

Obejrzawszy i obszedłszy jezioro, udali się więcej na zachód. Tam, natrafiwszy na olbrzymie lasy, zwiedzili

je zaledwie po brzegach i zawrócili do pozostawionej gromady. Po drodze rozglądali się jeszcze wokoło i rozmawiali pomiędzy sobą, aż głodni i zmęczeni zamilkli i tak już powracali do swoich, którzy czekali niecierpliwie ich powrotu. Każdy bowiem rad był wiedzieć, co słyszeli i widzieli po drodze. Zaraz też otoczono przybyłych, zadając im niezliczone pytania.

— A no, odezwał się kneź, widać, że nam tu będzie bezpiecznie i dobrze: ludy, co nas wygnały z naszych siedzib, daleko zostały, miejscowośc zaś, w której zatrzymaliśmy się, ma duże lasy, więc nam nie zbraknie drzewa na budowę i opał, ani zwierzyny na pożywienie. Wody, a w niej ryb mamy poddostatkiem, a łąk na paszę, jak widzicie, też nie zabraknie nam. Trzeba będzie tylko żywo się sprawić, aby przed zimą pobudować chaty i zagospodarować się na dobre.

Następnego dnia równo ze świtem wszyscy powstawali i każdy jął się jakiej pracy: ci poszli na polowanie, aby dostarczyć mięsa na posiłek; drudzy udali się ryby łowić; inni wreszcie zabrali się do ścinania drzew na budowę chałup.

Do tych ostatnich należał i Wach z ojcem. Udali się oni wraz z innymi do lasów na zachód od Gopła i zaczęli ścinać drzewa. Wyszukując trwalszego i grubszego, natrafili na jedno bardzo wysokie i grube, na wierzchołku którego widniało jakieś gniazdo. Wach zaciekawiony szybko i zręcznie wdrapał się do góry, ojciec stał koło drzewa i patrzył. Gdy Wach wlazł już na sam wierzchołek i chciał zajrzeć do gniazda, usłyszał naraz jakiś szum w powietrzu i uczuł, iż go coś silnie uderzyło. Chłopiec chciał mocniej objąć drzewo, ale mu sił zabrakło i stoczył się na ziemię, zatrzymując się po drodze i tłukąc głowę o gałęzie i konary. Upadłszy, zdawał się być martwym, to też ojciec ze strachem pochylił się nad nim.

— Wachu! — zawołał — synu mój, Wachu, co ci jest, powiedz — ale widząc, że Wach leży martwy, zaczął rozpaczliwie zawodzić, targając chłopca i oglądając, czy niema gdzie jakiego stłuczenia lub złamania. Na jego skargi zbiegli się ludziska, a widząc, co się stało, przynieśli wody z pobliskiej rzeki i wzięli się do cucenia Wacha.

Jakoż niedługo widać, że Wach zaczyna oddychać, a wkrótce potem otworzył oczy, szukając pomiędzy otaczającymi ojca. Radość biednego człeka, któremu się zdało, że traci syna, nie miała granic.

Zaczął go ściskać i całować, powtarzając bez związku:

— A jużem myślał. żeś się zabił, ale widać bogowie ulitowali się nademną i nie dopuścili... Ciebie mam jednego... Jakim ja szczęśliwy... Powiedz, co cię tak kropnęło, żeś aż zleciał? Ptak to był jakiś, a wieluhny strasznie, alem nie mógł dojrzeć jaki, bom patrzył na ciebie, jakieś se głowę rozbijał, mój ty biedaku. Boli cię co, powiedz.

Ale Wach jeszcze nie mógł mówić; tak się rozbił, że bardzo wolno wracał do sił i świadomości.

A tymczasem ludziska między sobą rozmawiali, coby to był za ptak, który takiego silnego chłopca od razu zwalił na ziemię.

— A jak on wyglądał? — zagadnął jeden.

— Duży był i cały biały — odpowiedział wreszcie Wach — ale co to za ptak, nie wiem, bom jeszcze takiego nigdy nie widział.

— Pewnikiem orzeł — mówili; ale nikt na pewno nie wiedział, bo ten biały ptak, o wspaniałej postawie, wzbił się w górę i przepadł.

Wieść o zdarzeniu Wacha szybko rozeszła się między gromadą i doszła do uszu Lecha. On był również ciekawy tego dziwnego ptaka, poradził przeto, aby ścięli owo drzewo i zobaczyli, czy niema czasem piskląt w gnieździe.

Parci ciekawością, zabrali się żywo, ale długo musieli pracować, bo drzewo było mocne i grube. Gdy je już przepiłowali i wspólnemi siłami zwalili, z hukiem i szumem runął odwieczny dąb, łamiąc po drodze mniejsze i słabsze drzewa. Wszyscy pobiegli w stronę wierzchołka, zobaczyć, czy niema w gnieździe piskląt.

Jakoż w istocie siedziało tam czworo ślicznych, jak śnieg białych, małych orląt. Były one oszołomione tem, co się z niemi stało, a za zbliżeniem się ludzi, wszystkie porwały się do lotu. Nie wszystkie jednak umiały fruwać: dwoje starszych, jakkolwiek z wielkim trudem, lecz wzbiło się w powietrze, dwoje zaś młodszych napróżno siliło się frunąć.

Ludziska zaciekawieni zbliżyli się do pozostałych niebożątek, które przerażone nie dawały się dotknąć do siebie, dziobiąc niemiłosiernie i drapiąc tych, którzy chcieli ich wyjąć z gniazda. I nie mogli sobie ludzie poradzić z temi pisklętami, a widząc, że jedno z młodych orląt o mało nie wydziobało oka dziecku, bliżej stojącemu, pozabijaii je, chcąc uniknąć nieszczęścia. A starsze orlęta, siedząc na drzewie, przyglądały się wszystkiemu. Jedno z nich rzuciło się na pomoc braciom, ale po uporczywej walce zginęło od siekiery. A ostatnie orlę, może kto spyta, co się z niem dzieje? -- Ostatnie orlę, pożegnawszy ze smutkiem gniazdo rodzinne i martwych już braci, rozwinęło skrzydła, wzbiło się w górę do słońca i utonęło w niem.

A ludzie stali smutni, bo żal im było tych ślicznych orląt, które przeniosły śmierć nad utratę rodzinnego gniazda i wolności.

Lech, który na to wszystko zdala spoglądał, połączywszy się z innymi, tak się do nich odezwał:

— Bracia! Oto mamy piękny przykład bohaterstwa i miłości: dwoje małych orląt nie umie nawet odbiedz od gniazda rodzinnego; jedno orlę, widząc ginących braci, rzuca się im na pomoc i ginie po zaciętej walce w obronie tych, kórych ukochało, a inne jeszcze wzbija się ku górze i ginie w słońcu. — Bracia, bądźmy i my jak te młode orlęta: kochajmy jak one swą ziemię i jak one bądźmy do niej przykuci, byśmy nie umieli jej porzucić; kochajmy jak one swych braci, oddając życie w ich obronie: kochajmy jak one swobodę; jak one wzbijajmy się w górę, by dążyć ku prawdzie, miłości. ku słońcu... Obierzmy sobie za herb nasz, czyli znak, pod którym walczyć mamy ze wszystkiem złem, owego orła białego, co kocha swe rodzinne gniazdo, swych braci, co się rwie i wzlatuje ku słońcu!

Długo ludziska myśleli nad tem, co im Lech powiedział, zabrali się wkońcu do roboty, a słowa knezia zachowali w pamięci. Orła obrali za herb swój, jak orzeł ukochali swe rodzinne gniazdo, jak on ukochali swych braci i życie za nich oddawali, a choć czasem pełzali po ziemi, to potem szybciej i wyżej wzbijali się w obłoki, pamiętając, że mają utonąć w prawdzie i miłości.

Gromada owych ludzi — to byli Słowianie, którzy osiedliwszy się około jeziora Gopła i zbudowawszy na miejscu gniazda miasto Gniezno, otrzymali nazwę Polan, a połączywszy się z innemi pokrewnemi plemionami, utworzyli duży naród — Polaków, albo inaczej Lechitów, do których my należymy. Miejmy więc przed oczami tego orła białego, którego znaleźli i obrali za herb swój nasi przodkowie, pamiętajmy, żeśmy jak orzeł powinni ukochać rodzinną ziemię, braci i wzbijać się w górę, by utonąć w słońcu! — Bądźmy białymi orłami! *S. S.*

Nieudane „państwo przyszłości“.

Socyaliści chcą — jak wiadomo — znieść wszelką własność prywatną; w państwie przyszłości, o którem oni marzą, mają wszystkie grunta, maszyny, fabryki i t. d. należeć wspólnie do wszystkich obywateli a w zamian za to każdy z nich powinien przykładać rękę do wspólnej pracy. Myśl ta jest bardzo nęcącą i niemało przyczyniła się do wzrostu liczby zwolenników socyalnej demokracyi.

Robiono już także liczne próby, ażeby ten plan socyalistyczny urzeczywistnić, ale próby takie zawsze zawodziły i nie udawały się. W ostatnich zaś czasach próbowano założyć socyalistyczną gminę w Niderlandach w pobliżu miasta Amsterdamu.

Zajął się tą także nieudaną próbą powieściopisarz niderlandzki Fryderyk von Eeden, który chciał w ten sposób odpowiedzieć na pytanie: „W jaki sposób można osiągnąć wspólną własność?“ Kupił więc w pobliżu Amsterdamu wielki kawał gruntu, któremu dał nazwę „Walden“. Następnie założył tam piekarnię, fabrykę czekolady, trudnił się gospodarstwem rolnem, zaprowadził hodowlę bydła, mleczarnię i wiele innych urządzeń, jednem słowem: dawał każdemu, kto tylko chciał pracować, doskonałą sposobność utrzymania wspólnej własności Waldenu i zwiększania jej.

Cóż — kiedy brakło ludzi tak z ubogich klas, jakoteż zamożniejszych, którzyby chcieli pracować w tem małem państwie przyszłości. Ci zaś, którzy z początku gar-

nęli się do pracy około wspólnej własności — doznawali później rozczarowania i cofnęli się ze swej drogi. Sam tylko założyciel Fryderyk von Eeden nie zniechęcił się, pracując przez całych lat ośm nad urzeczywistnieniem swojej ulubionej myśli. Niedawno ogłosił on publicznie wyniki, do jakich doszedł. O wspólnej własności wyraża się tam w następujący sposób:

„Muszę to otwarcie przyznać, że wszelkie próby stworzenia wspólnej własności kończyły się zaniechaniem tej myśli. Większa bowiem część ludzi zamało posiada poczucia obowiązku, uczynności, wytrwałości, zamało poczucia odpowiedzialności, zmysłu porządku i zrozumienia tej wspólności, ażeby z własnego popędu troszczyć się szczerze o wspólną własność. Taką jest nauka, którą uzyskałem po ośmiu latach moich prób. Krótko mówiąc wynik moich doświadczeń jest taki: Wspólna własność może się utrzymać tylko wtedy, gdy poddaną będzie pod ostry, odpowiedzialny, osobisty zarząd jakiegoś dzielnego i prawego człowieka“.

A więc niderlandzki pisarz przyszedł również do przekonania, że socyalistyczne państwo pszyszłości jest tylko mrzonką. Po długoletnich doświadczeniach uznał ten zwolennik socyalistycznej nauki, że koniecznym jest „odpowiedzialny zarząd“ (własności), t. j. właściwie to, co dziś mamy już w wyśmiewanych przez socyalistów państwach obecnych.

Polityka ludowców.

Polityka stronnictwa ludowego zdaje się wchodzić na nowe tory. Przypuszczać to możemy z kilku wystąpień p. Stapińskiego w parlamencie, a mianowicie w sprawie o gwałty pruskie i w energicznej odprawie, danej posłom ruskim. W obu tych sprawach stanął p. Stapiński a więc i całe stronnictwo ludowe na tem samem stanowisku, co Koło polskie.

Zdawało się nawet przez pewien czas, że ludowcy wstąpią do Koła polskiego i powstanie znowu w parlamencie jedno silne Koło polskie, bo już nawet w sprawie tego połączenia czyniono rokowania, które niestety nie

doprowadziły do skutku z powodu zbyt wielkich wymagań ludowców. Ostatecznie odwołał się p. Stapiński do kongresu całego stronnictwa ludowego, który o połączeniu się z Kołem polskiem ma rozstrzygnąć.

Na odbytej dnia 15 grudnia z. r. Radzie ludowców w Tarnowie, określono warunki, pod którymi połączenie z Kołem polskiem ma nastąpić. Głównym warunkiem ma być sprawiedliwa reforma wyborcza do Sejmu i taka zmiana statutu Koła polskiego, aby stronnictwo ludowe nie było solidarnością Koła w pewnych sprawach krępowane. Połączenie to ma uchwalić Kongres stronnictwa ludowego, który niewiadomo kiedy się ma zebrać.

Wszystko to więc wygląda na to, że ludowcy do Koła polskiego wstąpić nie chcą, a tylko dla mydlenia oczu głoszą swoje chęci połączenia się z Kołem.

Przypatrzmy się bowiem tej sprawie bliżej.

Dawniej nie chcieli ludowcy złączyć się z Kołem polskiem, bo tam rządzili obszarnicy, czyli szlachta, obecnie z ogólnych wyborów wyszła większość demokratyczna, i ta większość objęła kierownictwo w Kole polskiem, więc usunięty został główny powód, który ludowców trzymał zdala od Koła. Ale p. Stapiński głosi teraz, że nie ufa także demokratom, bo oni głównie składają się z mieszczan, więc są dla ludności wiejskiej nieprzychylnie usposobieni. Z kimże więc chce p. Stapiński pracować wspólnie? Nie chciał razem pracować z obszarnikami, teraz nie chce z demokratami.

Dlaczego? Bo dla stronnictwa ludowego istnieje tylko lud wiejski, ono zapomina, że są także miasta z ludnością rzemieślniczą i kupiecką, która ma także swoje prawa i interesa, czasem sprzeczne z interesami wsi. I gdy stronnictwo demokratyczne chce w równej mierze być zastępcą i rzecznikiem wszystkich stanów, ludowcy stoją na stanowisku obrony interesów tylko ludności wiejskiej, a więc interesów jednej klasy — wprawdzie najliczniejszej — lecz nie całego narodu. To ciasne i samolubne stanowisko właśnie jest powodem, że ludowcy stoją osobno i do Koła polskiego wstąpić nie chcą, a gra tu rolę pewną także osobista ambicya p. Stapińskiego, który jest dzisiaj przewodniczącym osobnego klubu i bądź co bądź odgrywa

pewną rolę w parlamencie, a po wstąpieniu do Koła znaczenie jegoby upaść musiało.

Wspomnieć tu także trzeba, że stronnictwo ludowe zmieniło nagle swoje usposobienie do obszarników. Widać pewne zbliżenie się stronnictwa ludowego do obszarników, tych do niedawna (według niego) największych wrogów ludu. Co na tę zmianę wpłynęło — nie wiemy — ani chcemy zgadywać — ale naszem zdaniem, byłby to sojusz najnaturalniejszy, bo tak jedni jak drudzy są reprezentantami rolnictwa, a rolnictwo, czy na wielkim obszarze, czy na małym ma wspólne interesa.

Załatwienie sprawy wstąpienia do Koła polskiego odkładają ludowcy aż do zebrania się kongresu — ale terminu jego nie ustanawiają, a więc i tu brak dobrej woli.

Jakie zaś żądania stawiają co do reformy wyborczej do Sejmu, która od Koła polskiego w Wiedniu nie zależy, i jakie zmiany chcą uczynić w statucie Koła, pomówimy w osobnym artykule, tu tylko tyle wspomnimy, że żądania ludowców idą trochę za daleko, bo chcą zrobić wyłom w solidarności Koła polskiego, które tylko tem jest silne, że jest solidarne, a co do reformy wyborczej, to stojąc na samolubnem stanowisku jednej klasy — t. j. ludu wiejskiego, chcą tej klasie zapewnić górujące stanowisko w Sejmie.

Ze stanowiska ludu wiejskiego, którego są zastępcami, nie można tego ludowcom brać za złe, ale niechże nie zapominają, że oprócz ludu wiejskiego, są inne w kraju stany, a i tym się coś należy. Niech ludowcy będą więcej Polakami, a mniej stronnictwem czysto ludowem, a zgoda ze wszystkimi będzie łatwa.

Powrót z Ameryki.

Tysiące robotników wracają z Ameryki do Europy, bo z powodu bankructwa kilku banków amerykańskich, pobankrutowały także fabryki tamtejsze i wstrzymały pracę.

Do naszego kraju wraca około 300 tysięcy wychodźców. Niektórzy z nich przywożą ze sobą małe lub większe oszczędności, ale są i tacy, którzy nic nie wiozą i prawie

w nędzy powracają. Do tych należą ci głównie, którzy niedawno do Ameryki wyjechali i nie mogli jeszcze nic tam zarobić.

Gazety polskie wychodzące w Ameryce nawołują wprawdzie polskich robotników, by nie wyjeżdżali z Ameryki, bo obecne położenie powoli się zmieni i fabryki znowu potrzebować będą robotników, ale nikt tego głosu nie słucha, każdy stara się jak najprędzej znaleźć w swoim kraju. W Ameryce zostali tylko ci, którzy się już tam zagospodarowali.

Władze rządowe i nasi posłowie naradzają się, jak zająć tylu robotników, jaki im dać zarobek. Mówią, że pewna część znajdzie pracę z wiosną przy regulacyi rzek — ale co będzie z większą częścią tych ludzi? Wielu z nich mówi, że skoro tylko w Ameryce zmienią się stosunki— to znowu tam pojadą. Ten powrót będzie jednak trudniejszy, bo Ameryka obostrzyła ostatnimi czasy prawa dla wychodźców i już tak łatwo nie pozwoli wylądować niejednemu — jak dawniej.

Wyrzutek galicyjski — posłem śląskim.

Herszt galicyjskich socyałów i żydów, Ignacy Daszyński, nie został w roku zeszłym wybrany posłem do Rady państwa ani w Krakowie, ani w okręgu bialskim, choć tu i tam usilnie o to poselstwo się starał.

Nasz kraj dał — jak to mówią — p. Ignacemu kopniaka, na co zresztą Daszyński całkiem zasłużył, bo hańbił ciągle nasz kraj w Radzie państwa — a tu w kraju odbiera robotnikom wiarę, sieje wśród nich zdziczenie i jak najwyraźniej zaprzęga ich w niewolę żydów, którym i sam wysługuje się z całą gorliwością.

Ale klub socyałów w Radzie państwa nie wieleby znaczył bez Daszyńskiego, bo tak hańbować i tak plwać na Galicyę i na wszystko co uczciwe, jak to umie Daszyński, mało który z nich potrafi.

Postarali się tedy socyały, że Reger, poseł z okręgu bogumińsko-frysztackiego, zrzekł się poselstwa jedynie w tym celu, aby umożebnić Daszyńskiemu poselstwo na Śląsku.

I stało się, że przy uzupełniających wyborach odbytych 16 grudnia roku zeszłego, wybrany tamże został posłem Daszyński. Kandydat zaś robotników chrześcijańskich, p. Henryk Bura, robotnik z Karwiny, otrzymał blisko trzy tysiące głosów, a Daszyński przeszło sześć tysięcy.

Że górnicy śląscy wybrali posłem Daszyńskiego, którego Galicya wyrzuciła, to przez to wystawili sobie bardzo smutne i brzydkie świadectwo, bo pokazali, że nie są ani Polakami, ani chrześcijanami, i że wielka u nich jeszcze ciemnota.

Nie tylko bowiem wybrali posłem tego, którego Galicya kopnęła — ale obdarzyli poselstwem człowieka, któremu *Postęp* krakowski publicznie i otwarcie zarzuca różne kradzieże grosza publicznego i robotniczego, i którego nazywa (w numerze 72 z r. 1907) wprost hersztem bandy zbrodniczej i zdrajcą ludu roboczego.

Trzeba więc być chyba albo bardzo ograniczonym, albo otumanionym wielce przez socyałów, by takiego człowieka jak Daszyński, obdarzać poselstwem. A jednak — górnicy śląscy to zrobili, lecz przez to właśnie wielce się poniżyli w oczach całej Polski!

Pocieszającą atoli w tym wyborze jest znaczna liczba głosów oddana p. Burze, kandydatowi chrześcijańskiemu, bo widać z niej, że już spora liczba górników śląskich zaczyna przejrzywać i odwraca się od oszustów socyalistycznych. Daj Boże, aby wnet i inni przejrzeli.

Zdziczenie u Rusinów.

Bezbożna agitacya szerzona przez ukraińców wśród ludu i młodzieży ruskiej zaczyna już wydawać swoje owoce, a tymi owocami — to zdziczenie, które niektórych Rusinów zniża do rzędu bydląt. Oto kilka przykładów:

Z Sambora piszą do *Hałyczanina*, że dyrekcya tamtejszego ruskiego gimnazyum prowadzi obecnie śledztwo przeciw kilku uczniom tegoż gimnazyum, „ukraińcom“, którzy natychmiast po przyjęciu Komunii św. udali się na chór cerkwi i zapalili tam papierosy. Oburzeni tem

studenci staroruscy udali się do księdza katechety ze skargą, ksiądz jednak zgromił za to młodzież staro-ruską, a wziął w obronę owych palących w cerkwi papierosy ukraińców.

— Drugi przykład: „Na ostatniem walnem zgromadzeniu członków towarzystwa „Proświty“ w Tarnopolu, wezwał ich proboszcz ruski, ks. Kunicki, aby obrady swe rozpoczęli od Boga i wysłuchali Mszy świętej. Wówczas zerwał się „uświadomiony“ przez ukraińców chłop, Pawło Dumka, i począł wołać:

„Dosyt’ u nas cerkwy! My te procesye mamy zawsze w domu. A tu zeszliśmy się dla pomówienia o swoich sprawach gospodarskich i oświatowych. Przecież Bóg nam wybaczy, jeśli przez kilka godzin zajmiemy się czystą oświatą“. Że chłopi ruscy nie chcą już i o Panu Bogu słyszeć, że gorszymi się robią od pogan, to stąd pochodzi, że gazetki ruskie, zwłaszcza ukraińskie, ciągle występują przeciw księżom i religii, a taka strawa musi u chłopów ruskich sprowadzić utratę wiary.

Ale co się tu dziwić chłopom ruskim, że dziczeją, kiedy kwiat ich inteligencyi, posłowie do Rady państwa i akademicy ruscy nie lepsi od chłopów, ale może jeszcze dziksi.

W grudniu roku zeszłego wywołali akademicy ruscy nową awanturę na uniwersytecie lwowskim w czasie tak zwanej immatrykulacyi, gdy nowi akademicy składają w ręce rektora, czyli przełożonego uniwersytetu przyrzeczenie, iż sprawować się będą w czasie nauk uniwersyteckich z godnością i przyzwoicie.

Ponieważ rektor odczytywał po polsku słowa owego przyrzeczenia akademickiego, a nie po rusku, więc akademicy ruscy wszczęli najpierw piekielny hałas, a potem chcieli się rzucić na rektora. Na to w odpowiedzi polscy akademicy zaczęli ruskich bandytów z sali wypychać i powstała jedynie z winy Rusinów bójka, w czasie której odniosło rany kilku akademików tak polskich jako i ruskich.

W tej sprawie wnieśli ruscy posłowie w Radzie państwa kilka interpelacyj, zwalając całą winę na Polaków — jak to u Rusinów jest w zwyczaju. Prezydent Rady państwa kazał te interpelacye odczytać przy końcu posiedzenia, co tak rozsierdziło posłów hajdamackich, że

zaczęli hałasować, grać i ryczeć jak dzikie zwierzęta i nie pozwolili innym posłom przemawiać.

Nadto jeden z posłów ruskich, sławny hajdamaka Baczyński, rozbił pulpit i kawałkiem drzewa na półtora metra długim rzucił ku prezydentowi. Drzewo nie trafiło w prezydenta Izby, lecz ciężko poraniło posła Benkowicza, który pod tym ciosem zalał się krwią, zachwiał się i upadł. W tej chwili dwóch posłów-lekarzy rzuciło się ku niemu, wynieśli go przy pomocy innych posłów z sali do czytelni i tu z trudnością go do życia przywrócili.

Dziki i zbójecki ten postępek posła ruskiego wywołał w całej Izbie powszechne oburzenie. Teraz i Rada państwa przekonała się, czem to pachną Rusini, a także i ich posłowie.

Zaostrzenie wychodźtwa do Prus.

Z powodu dość częstych wypadków łamania kontraktów przez polskich robotników w Prusiech, zapowiada rząd pruski osobne legitymacye dla naszych robotników, nazwane „Inlands-Legitimationsscheine" z nazwiskiem robotnika i właściciela, u którego pracę przyjął.

Gdyby robotnik przeszedł do pracy u innego właściciela, aniżeli to podane jest w legitymacyi — będzie z Prus wydalony.

Rzecz jasna, że będzie to wielkiem skrępowaniem wolności robotników i oddanie ich na łaskę i niełaskę pruskich właścicieli.

Krokodyle łzy.

Mówią, że krokodyl pożerający swą ofiarę, czy to człowieka, czy inne jakie stworzenie, płacze przy tem, a płacze rozumie się nie z litości, tylko właściwie z radości, że złapał biedną ofiarę. Taki więc płacz, takie łzy są szczytem obłudy.

Na wzór krokodyla płaczą teraz nad Polakami w Poznańskiem niektórzy nasi żydzi, którzy zabierają głos na różnych polskich zgromadzeniach i uchwalają protesty przeciw wywłaszczeniu Polaków w Prusiech.

Jeżeli nasi żydzi chcą rzeczywiście pokazać, że ich współczucie dla narodu polskiego nie jest obłudnem, to przedewszystkiem powinni skłonić swoich współwyznawców, czyli żydów w Prusiech, by się nie łączyli z Prusakami przeciw Polakom, jak się to dziś tam powszechnie dzieje. Powtóre, nasi kupcy żydowscy powinni na wzór kupców chrześcijańskich żadnych towarów do swych handlów z Prus nie sprowadzać. Tego jednak żydzi z pewnością nie zrobią — więc ich współczucie jest i pozostanie obłudą, i szachrajstwem żydowskiem obliczonem na bałamucenie naszego narodu.

Wieśniak i socyalista.

Wieśniaka litewskiego p. Ciunelisa, który jest posłem do Dumy rosyjskiej w Petersburgu, zaczepił tymi dniami na korytarzu Dumy jeden z posłów socyalistycznych i urągał mu, że się trzyma Koła polskiego, czyli posłów polskich, i tak doń mówił:

— Co oni ci dać mogą — ci panowie? Twoje miejsce na lewo, u nas; my ludu sprawy bronimy. Co cię z panami wiąże?

— Jedna ziemia i jedna wiara — broni się p. Ciunelis.

— Jaka tam wiara, wymysł księży, niema Boga, zakutą masz głowę — i to mówiąc, odszedł.

Po kilku dniach ów socyał spotyka p. Ciunelisa i znów rozpoczyna z nim rozmowę o wywłaszczeniu.

— Ale jakże ja mogę odbierać ziemię gwałtem od pana, kiedy ona nie moja — broni się p. Ciunelis.

— A czy pańska? — woła uświadomiony socyał — nie było panów, była ziemia, nie będzie panów, a ziemia zostanie. Bóg ją dał tym, co w pocie czoła pracują na niej.

— O, o, jakiś mądry — śmiało odpowiada p. Ciunelis, — niedawnoś dowodził, że niema Boga, a dziś już na Boga się powołujesz.

Zawstydzony socyał odszedł zły i kwaśny, a inni posłowie przysłuchujący się tej rozmowie, śmiejąc się wesoło, winszowali p. Ciunelisowi zwycięstwa nad socyałem.

Przed sąd świata!

Nasz sławny powieściopisarz Henryk Sienkiewicz wydał odezwę w sprawie ostatniego gwałtu pruskiego, to jest wywłaszczenia Polaków i rozesłał ją do różnych wybitnych osób w świecie, oraz ogłosił w gazetach.

W odezwie tej nazywa Sienkiewicz postępek Prusaków faktem wprost niesłychanym, urągającym wszystkim pojęciom ludzkim. Polacy, żyjący pod zaborem pruskim, nie wzniecali rewolucyi, zachowują się spokojnie, spełniają narzucone im ciężkie obowiązki, płacą podatki, dostarczają rekruta. To też cały świat, a nawet niezawiśli i uczciwsi Niemcy potępiają postępek rządu pruskiego, jako zamach na najgłówniejsze prawa ludzkie.

To jednak nie wystarcza. Potrzeba, aby cały świat cywilizowany dał wyraz swemu oburzeniu z tego barbarzyństwa pruskiego. Dlatego Sienkiewicz wzywa wszystkich sławnych ludzi, aby objawili swe zdanie w tym względzie i potępili tę największą krzywdę i największą plamę w historyi 20 go wieku.

Z kraju i ze świata.

Ostrzeżenie przed wychodźctwem. Namiestnictwo przestrzega ludność naszego kraju przed wychodźtwem do Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, gdyż ruch przemysłowy bardzo tam ograniczono obecnie, i fabryki wydalają tysiące robotników, którzy, jak wiadomo, wracają do ojczyzny. Emigranci, którzyby teraz wybierali się do Stanów Zjednoczonych, naraziliby się na najgorszy los.

Również i do Kanady niema po co jechać, skoro rząd kanadyjski sam przez swych zastępców w Europie przestrzega przed emigracyą tej zimy do Kanady.

Powrót z Argentyny. W pierwszej połowie roku zeszłego wywędrowało do Argentyny 77 tysięcy wychodźców, z tych powróciło do końca roku ubiegłego przeszło 40 tysięcy, a to z powodu małej zapłaty za pracę a wielkiej drożyzny. Agenci obiecywali wychodźcom zarobek

dzienny wysokości 5 pens (11 koron), tymczasem rzeczywiście zarabiają tam tylko 2 pens. co nie wystarcza nawet na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb życia.

† **Stanisław Wyspiański**, sławny poeta, na wskroś polski i sławny malarz, zmarł w Krakowie. Ciało jego pochowano w „Grobie zasłużonych“ na Skałce.

Austrya i Węgry. Rada państwa uchwaliła przed świętami Bożego Narodzenia ugodę z Węgrami i prowizoryum budżetowe, poczem ją odroczono.

— *Cesarz* już ozdrowiał i wyjechał 21 grudnia z Szhönbrunu do swojego pałacu (Burgu) w Wiedniu. Ludność wiedeńska zgotowała Monarsze na ulicach miasta serdeczną owacyę. Przed wyjazdem do Burgu oczekiwała Cesarza Rada miejska z burmistrzem na czele, który wygłosił mowę. Cesarz odpowiedział w krótkich słowach, dziękując za serdeczne przyjęcie i za objawy miłości ze strony ludności wiedeńskiej.

— *Spisek na życie Cesarza.* Jedna z gazet węgierskich podała wiadomość, że anarchiści zamierzali z końcem listopada z. r. urządzić zamach na życie Cesarza Franciszka Józefa i na następcę tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Wiadomość o tem miała otrzymać policya budapeszteńska. Inne gazety nie wierzą atoli w owo doniesienie i uważają to za bajkę.

Czesi w obronie Polaków. Nie tylko w Radzie państwa stanęli posłowie czescy w obronie naszych Braci pod Prusakiem i potępili publicznie zbrodnię Prusaków, którzy postanowili wywłaszczyć Polaków z ich ziemi, ale nadto urządzili Czesi wiec w Pradze, na którym wzięli udział przedstawiciele wszystkich stronnictw czeskich.

Zebrani na tym wiecu wystąpili przeciw rządowi pruskiemu i nazwali nowe ustawy pruskie „barbarzyństwem“. Cały naród czeski wyraża Polakom współczucie, a Prusakom oburzenie!

Niemcy. *Wywłaszczenie uchwalone.* W komisyi sejmu pruskiego przyjęto projekt ustawy o wywłaszczeniu Polaków z tem tylko ograniczeniem, że przyznano rządowi tymczasem na ten cel nie 400 tylko 270 milionów marek i że na razie wolno rządowi wywłaszczyć dwa tylko okręgi polskie. Znaczy to, że po kilku latach, a może wcześniej, rząd znowu zażąda milionów na wywłaszczenie,

a sejm mu je uchwali, skoro już raz wszedł na tę drogę rozboju i zbrodni.

— *Nowa wścieklizna pruska.* Słychać, że rząd pruski ma przedłożyć sejmowi nową ustawę, na podstawie której wolnoby mu było wydalać z kraju każdego Polaka, choćby swego poddanego, jeżeli ten będzie mu się wydawał gorącym Polakiem.

— Inna znowu ustawa ma zapobiedz temu. aby wywłaszczeni w Poznańskiem Polacy nie osiedlali się na Górnym Śląsku.

— *Zasądzeni kapłani.* Izba karna w Starogrodzie zasądziła dziewięciu księży polskich, każdego na kilkaset marek kary za to, że ci kapłani umieścili w piśmie *Pielgrzym* odezwę wykazującą, że dzieci polskie powinny w szkole pobierać naukę religii w języku polskim a nie w niemieckim.

Rosya. Prezes rosyjskich ministrów. Stołypin, to skończony durak i kacap. Gdy poseł polski Dmowski powiedział w Dumie, iż rząd rosyjski traktuje Polaków jako obywateli drugiego rzędu, powstał p. prezes ministrów, Stołypin i powiedział do Polaków, że dopóki nie ugną się przed rządem, nie zmoskwiczą się, to muszą pozostać obywatelami drugiego rzędu.

A więc Polacy mają wyzbyć się swej historyi tysiącletniej i dać się przerobić na kacapów. Że Stołypin powiedział takie głupstwo, uchodzi to w obecnej Dumie, bo tam dziś większość ludzi takich, ktorzy gdzieindziej możeby musieli pokutować za kratami za różne złodziejstwa i wymuszania

— *W Królestwie* zamknął jenerał gubernator Skałłon „Polską Szkolną Macierz“, w której szkołach pobierało naukę 63 tysiące osób. Na razie szkół tych jeszcze nie zwinięto, ale każdej chwili stać się to może. „Macierz szkolna“ powstała w Królestwie przed półtora rokiem, gdy wyszedł ukaz wolnościowy, pozwalający na otwieranie szkół prywatnych.

W Szwecyi zmarł król tegoż kraju, Oskar II. Rządy po nim objął syn jego Gustaw piąty.

Spiski na życie królów. W Lizbonie (w Portugalii) znaleziono w teatrze dwie bomby w loży królewskiej. Spiskowcy mieli zamiar wysadzić w powietrze lożę, gdy

się w niej król zjawi. Ktoś atoli przedtem o tym spisku doniósł władzom, i tak zamach udaremniono.

— *W Hiszpanii* wykryto spisek, który miał na celu ogłoszenie w tym kraju rządu republikańskiego i pozbawienie tronu króla Alfonsa.

W Turcyi wykryła policya spisek przeciw sułtanowi Abdul-Hamidowi. Wiele osób z kół najwyższych dostojników aresztowano.

W Persyi wybuchły wielkie rozruchy. Szach i niektórzy zwolennicy chcieli znieść konstytucyę nadaną krajowi przez poprzedniego szacha, przeciw czemu buntowała się ludność. Ostatecznie szach rozmyślił się, złożył przysięgę na konstytucyę, a ludność się uspokoiła.

Ameryka a Japonia. Rząd Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki ukończył już przygotowania do wyruszenia floty na morze blisko Japonii. Na okrętach wojennych umieszczono aż 35 milionów funtów różnego materyału wojennego, co jest znakiem, iż Ameryka przygotowała się już do wojny z Japonią, choć urzędowo głosi, że ani myśli o tej wojnie.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Z Rzymu. *Jubileusz Ojca świętego.* W Rzymie rozpoczęły się już uroczystości ku uczczeniu kapłańskiego jubileuszu Ojca św. Piusa X. Po kościołach rzymskich odbywają się nabożeństwa, a do rodzinnej miejscowości Ojca św. urządzono pielgrzymkę pobożną.

W wielu miejscowościach we Włoszech i za granicą postanowiono składać świętopietrze, by ulżyć Stolicy świętej w jej wielkich potrzebach.

W samym dniu jubileuszu, t. j. 16 listopada bież. roku, ma być Rzym illuminowany. Z różnych stron świata nadchodzą wiadomości o przygotowaniach do obchodów jubileuszowych.

— *W poczet błogosławionych* zamierza Stolica święta zaliczyć Papieża Piusa IX. i poleciła już rozpocząć w tym celu tak zwany „proces beatyfikacyjny“, czyli badanie życia owego Papieża.

— *Konsystorz papieski* odbył się w połowie grudnia roku zeszłego. Ojciec święty zamianował na nim 4 nowych Kardynałów i 6 Biskupów. Przy tej sposobności wygłosił Papież mowę, w której ubolewał nad walką prowadzoną dziś z różnych stron jawnie i skrycie przeciw Kościołowi.

— *Watykan a rząd pruski.* Piszą niektóre gazety, że rząd pruski usiłuje skłonić Stolicę Apostolską, aby ta zamianowała Arcybiskupem w Poznaniu takiego kapłana, któryby był narzędziem rządu pruskiego i pomagał temuż w zniemczeniu Polaków. Na to odpowiadają gazety watykańskie, że Ojciec święty w politykę nie chce się mieszać i ma na oku tylko sprawę Kościoła. Z tego można wnioskować, że Papież żadną miarą się nie godzi na żądanie rządu pruskiego.

Z Królestwa polskiego. Rosyjski rząd ogłosił, iż uważa za nieodpowiednie (!) — aby zagraniczni (galicyjscy) misyonarze katoliccy odwiedzali gubernię lubelską i siedlecką. Skutkiem tego zabroniony został pobyt naszym księżom z Galicyi w owych dwóch guberniach. Nowy to przykład, co znaczy w Rosyi ukaz carski o wolności religijnej. Car niby daje wolność — a rząd ją kasuje.

Na Węgrzech poruszyli masoni i socyały myśl, aby podobnie jak we Francyi wywłaszczyć duchowieństwo katolickie z dóbr kościelnych. Przeciw temu jednak nie tylko powstają katolicy, ale także luteranie i nazywają tę myśl krokiem do anarchii.

Stan Kościoła katolickiego w Ameryce. Stany Zjednoczone północnej Ameryki mają 1 delegata papieskiego, 1 Kardynała, 14 Arcybiskupów, 90 Biskupów i 18 opatów. Najstarszym dostojnikiem Kościoła tamże jest ks. Arcybiskup Williams w Bostonie, który już przed 42 laty otrzymał konsekracyę biskupią. Liczba księży wynosi 15.093, w tem 3958 księży zakonnych, którzy rozdzielają się na 45 zakonów. Najliczniejsze zakony są: Jezuici, Benedyktyni, Kapucyni, Franciszkanie, zakon Krzyża św. i Redemptoryści.

Liczba katolików wynosi około 13 milionów, a w roku ubiegłym wzrosła o pół miliona. W roku 1906 zbudowano 334 nowe kościoły, a wzzestkich domów Bożych jest tam teraz 12.148. Najwięcej kościołów katolickich jest

w Nowym Jorku (226), poczem następują: Chicago (175), Filadelfia (91), St. Louis (76), Boston (52) i t. d. Liczba seminaryów duchownych wynosi 86 z 5697 klerykami.— Kościół katolicki wzrasta więc w Ameryce coraz więcej.

ROZMAITOŚCI.

O nową prenumeratę na rok bieżący prosimy tych Sz. Czytelników, którzy jej jeszcze nie nadesłali. Zaznaczamy, że kto się opóźni z nadesłaniem prenumeraty, ten potem premii, to jest **Kalendarza „Święta Rodzina“** nie otrzyma, bo będzie wyczerpany.

Gorączka emigracyjna opanowała znowu naszych włościan na Podkarpaciu. Liczne rodziny wieśniacze wybierają się z wiosną do Brazylii po szczęście, którego tam z pewnością nie znajdą.

Ukarany oszczerca socyalistyczny. Redaktora *Kolejarza* towarzysza Kaczanowskiego zaskarżył pewien palacz kolejowy w Stanisławowie o oszczerstwo. Sąd przysięgłych skazał Kaczanowskiego na 14 dni aresztu z zamianą na 70 koron grzywny, które czerwony oszczerca zapłaci rozumie się nie z własnej kieszeni, lecz ze składek zbieranych od biednych i tumanionych robotników.

Drugi towarzysz ukarany. W Krakowie skazał sąd socyała, adwokata dra Marka, na 10 dni aresztu, z zamianą na 100 koron kary za to, że na publicznem zgromadzeniu socyalistycznem zachęcał zebranych towarzyszów do gwałtów ze złości — iż wówczas Daszyński przepadł w Krakowie przy wyborach do Rady państwa.

P. Stapiński już rozkazuje! Nasi panowie obszarnicy umizgują się teraz w swej gazetce *Rola* do ludowców i radziby pozyskać dla siebie p. Stapińskiego, aby przy jego pomocy obalić demokratów-narodowych w Kole i napowrót objąć w niem rządy.

Na to p. Stapiński odpowiada w swoim *Przyjacielu ludu* panom, że obszarnicy muszą się zgodzić na wolę ludu (to jest p. Stapińskiego), bo teraz chłopi (względnie Stapiński) ma dyktować, co i jak ma się dziać, a panowie mają słuchać. I podobno — jak pisze dalej

Przyjaciel ludu — panowie obszarnicy zaczynają to uznawać! A no, nie chcieli panowie dawniej dobrowolnie ludem się zająć — to teraz lud i Stapiński będzie im prawa dyktował.

Zagadkowy wypadek. Na przestrzeni kolejowej między Lwowem a Sichowem znaleziono zwłoki żyda na torze. W kieszeni znaleziono 80 dolarów.

Z listów, które także przy nim znaleziono dowiedziano się, że zabity zwał się Izaak Brünner, i że wracał jako ajent handlowy z Ameryki do Jass na Bukowinie. Przypuszczają, że zabili go w celu rabunku towarzysze podróży i trupa wyrzucili z wagonu.

Sól potanieje. Na posiedzeniu Koła polskiego dnia 13 grudnia z. r. zapewniał prezes Koła p. Głąbiński naszych posłów, że o ile mu wiadomo, cena soli zniżona będzie na 10 centów, a opłata od doręczeń sądowych do wysokości zwykłych portoryów sądowych.

Na karę śmierci skazał trybunał przysięgłych w Tarnopolu parobka Ilkę Paziuka, który wioząc żonę i dwie córki ruskiego proboszcza Książki, u którego służył, zastrzelił tę żonę i jedną z córek, druga zaś później zmarła.

— Tarnopolski także trybunał przysięgłych skazał na śmierć Hunta Jaśkowa, wójta z Zieliniec i Anastazyę Hruszowec za popełnione przez nich morderstwa. Jaśkow otruł swoją żonę arszenikiem, Anastazya zaś Hruszowec otruła swego męża, aby się mogła pobrać z Jaśkowem.

Potrójne morderstwo W Czańcu koło Kęt przyszło do gospody dwóch młodych ludzi, którzy pijąc zabawiali się do późna w noc. Gdy przyszło do zapłaty, wyciągnęli rewolwery i zabili gospodarza i jego żonę. Ci sami ludzie zabili także dziewczynę w Kętach. Obaj umknęli. Jednym z tych zbrodniarzy ma być niejaki Andrzej Kurek, który zbiegł z więzienia w Wiśniczu. Przed kilkoma laty zamordował on dwoje ludzi, za co zasądzony był na śmierć, którą to karę zamieniono mu na dożywotnie więzienie.

W sprawie wścieklizny psów wydało namiestnictwo okólnik do starostw, w którym zwraca ich uwagę na świeżo wydaną książeczkę p. Józefa Chołodeckiego p. t.: „Kilka słów o wściekliźnie“ i zaleca rozszerzanie jej wśród ludności wiejskiej. Równocześnie objawia namiestnictwo

swoje zapatrywanie, mianowicie, że należałoby zaprowadzić i po wsiach podatek od psów, aby przez to zmniejszyć ich liczbę, zwłaszcza psów włóczących się i bezdomnych, które najczęściej szerzą wściekliznę.

Żołnierzom podwyższono żołd dzienny o 5 groszy, tak, że teraz każdy szeregowiec pobierać będzie dziennie 17 halerzy. Między żołnierzami podobno i z tego podwyższenia radość wielka.

Żyd i mason burmistrzem Rzymu! Rada miejska w Rzymie, której większość stanowią socyały i masoni wybrała burmistrzem tego miasta żyda i masona Nathana. Dla stolicy świata chrześcijańskiego jest to policzek wymierzony jej przez żydów.

Strejk gospodyń. W Wiedniu wybuchł niezwykły strejk. Zastrejkowały mianowicie gospodynie i postanowiły przez całe dwa tygodnie nie kupować mięsa u rzeźników, aby przez to zmusić ich do obniżenia cen mięsa. Chwila jest wybrana dosyć korzystnie, ponieważ ceny drobiu i dziczyzny są obecnie bardzo niskie, wobec czego mogą te artykuły zupełnie zastąpić mięso. Gospodynie wiedeńskie wydały również odezwę do osób jadających w restauracyach, aby i tam spożywały jak najmniej mięsa.

Zdziczałość bandytów. Szajki bandytów, które grasują wciąż po Królestwie Polskiem nie tylko grabią i mordują, ale dopuszczają się przytem wyszukanych okrucieństw nad swemi ofiarami, jak to się zdarzyło we wsi Lublinek w gubernii warszawskiej (w Król. Pol.). Około 10 uzbrojonych w rewolwery i drągi żelazne bandytów napadło tamże na dom kolonisty 67-letniego Emanuela Haasego, od którego zażądali 600 rubli, oraz dubeltówki. Haase odpowiedział, iż takiej sumy przy sobie nie posiada. Wówczas trzech z tych drabów zaczęło bić go kolbami rewolwerów i drągiem żelaznym po głowie i plecach. Haase zbroczony krwią, padł zemdlony na ziemię.

Ale za mało im tego było. Podskoczyli więc do drugiego pokoju, w którym znajdowali się 50-letnia Franciszka, żona, 16-letni syn Tomasz. Tego ostatniego zaczęli bić i szarpać, domagając się gwałtem, aby im pokazał, gdzie są ukryte pieniądze. Tomasz Haase w pierwszej chwili chciał uciec, bandyci jednak zagrodzili mu drogę, kazali zdjąć krótki kożuszek, ściągnęli mu buty z nóg

i zaczęli je parzyć gorącem żelazem. Chcieli w ten sposób, ci nieludzcy ludzie, zmusić chłopięcia do wskazania ukrytych pieniędzy.

Gdy widzieli, że Tomasz Haase mdleje a nic nie dowiedziawszy się, pozostawili na razie swoją ofiarę, a zaczęli bić 14-letnią córeczkę Józefę Haase, której płacz nie wzruszył wcale łotrów. Wskazała ona, że ma w skarbonce uskładanego rubla i pieniądze te bandyci zabrali.

W tym czasie przybył jeden z kolegów Tomasza; bandyci i jego również pobili. Nie mogąc się nic dowiedzieć o przechowanych pieniądzach, bandyci związali całą rodzinę Haasego i wrzucili do piwnicy, którą zamknęli i zastawili sofą. Powróciwszy do mieszkania, bandyci splądrowali wszystkie kąty, zabrali kilkadziesiąt rubli, kosztowne przedmioty, ubranie i t. d. — wyciągnęli wóz z wozowni, zaprzęgli konia i z łupem uciekli.

Dzięki sąsiadom, którzy przypadkowo dowiedzieli się o ohydnym napadzie bandyckim, uwolniono wtrąconą do piwnicy rodzinę z więzów.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.